

## Dostęp do informacji – projekt archiwów

### *Wprowadzenie do paradoksów pamiętania*

Spójne wydają się projekty zaledwie pomyślane. Późniejsze ich konkretyzacje brną w uwarunkowania, kompromisy i wytyczne. Wikłają się w sieć założeń i pojęć. Język służy do wyrażania myśli, ale umyka na ogół uwadze, że językowe środki, przejęte jako własne z leksykalnego środowiska, są w stanie myślenie obezwładnić. Kto zamierzałby posługiwać się krytyczną refleksją, musi najpierw pokonać niepostrzeżony dyktat przyswojonych słów, wyrażań i zwrotów. Bywają stosowane nawykowo, machinalnie, przesłaniają znaczenia. Jeszcze nie czas wymyślać nową lingwistykę, a na początek wystarczy prowizorium opakowań zastępczych, studialne fantomy pojęć. Nie są przeznaczone do rzeczywistego wdrożenia, ale aspirują do istotności. To nie gra słowami, lecz symulacja odwrócenia fatum, które ciąży nad nawracającym legislacyjnym przedsięwzięciem. Od trzech już dekad na przemian kielkuje i usycha, niezmiennie zahipnotyzowane dogmatami regulacji, którą miałyby zastąpić. Następnym razem trzeba by rozpocząć od czystej karty (pustego ekranu), bez niekontrolowanych zapożyczeń. Jakby przed wszczętą konceptualizacją niczego nie było.

Gdy mowa o projekcie, nasuwają się wizje innowacji i oczekiwanego przełomu. Także nadzieja na rozwikłanie problemów. Są to ożywcze skojarzenia, ale progresywne otwarcie nie zawsze jest na wyciągnięcie ręki. Inspirujące i nieodzowne okazałoby się też jednak zastanowienie nad projektem całkowicie urzeczywistnionym, który zdążył już się wypalić, a nosi także ślady napraw i niepowodzeń. Nad tym, który chciałoby się już zamknąć. Mimo że napisany dawno temu i zdaje się na wskroś opatrzony, on również powinien być odczytany bez naiwnej ufności w jego językową postać, a także ukryte w słowach założenia. Nie da się wprawdzie zbudować nowego integralnego rozwiązania na planie odwróconych dysfunkcji poprzedniego, lecz w perspektywie można przynajmniej liczyć na omińnięcie pułapek, w które nie raz już się wpadło.

Uwagę przyciąga rozproszony informacyjny depozyt, który w społecznym życiu jest kojarzony ze zbiorowym i osobistym pamiętaniem. Nawarstwia się w następujących po sobie pokoleniach. Kto dotarłby do niego, uzyska wgląd w przeszłe zdarzenia bądź stany rzeczy, dla innych niewiadome lub zapomniane. Jeśli zaś nawet przez nich przywoływane, to często opacznie. Doniosłość owej wiedzy albo więzi należy do kulturowych aksjomatów. Jedność skryptyury i pamięci przyjmuje się odruchowo za oczywistą, bo sztuka wyrażania wiadomości znakami, znajdująca obfite uzupełnienie w przekazach wizualnych, dawno wyparła inne mnemotechniki.

Byłby to znośny opis, gdyby nie jego pobieżność, granicząca z mistyfikacją. Są bowiem rozległe obszary, gdzie prawie niczego – poza memuarami – nie ujmuje się w informacyjny przekaz po to, by pamiętać. Rzecz nie w zwykłej możliwości potwierdzenia czegoś albo ponowienia czy odwzorowania według instrukcji, a w tym, by myśl – wspierana przez pismo lub obrazy – zdołała odtwarzać przeszłość bądź wyobrażenia o niej. To rzadkość. Mało co zapisuje się tam z intencją obdzielenia innych retrospekcyjnym poznawaniem, a zwłaszcza nie kogokolwiek.

Nieogarniony i nieustanny mózół utrwalania informacji na ogół zmierza ku celom utylitarnym i doraźnym, bo to one zdolne są ludzi motywować. Życie toczy się w terażniejszości, ewentualnie z myślą o jutrze. Pamiętanie natomiast – zapatrzone w to, co przeminione i nieistniejące – stanowi szczególną funkcję i mitręgę, swoistą nadwyżkę. Tymczasem, kultura popularna podsuwa swoim konsumentom komfortowe imitacje głębokiej pamięci, które zajmują jej miejsce i uśmierniają doznawanie deficytu. Życ i zapisywać da się prawie bez pamiętania, nie dla retrospekcji – a przecież całkiem pomyślnie oraz intensywnie.

Owszem, niektórym informacyjnym emanacjom takiego życia potrzebna jest rozległa czasowa perspektywa. Zapisane świadectwa własności i innych praw, władzy i tożsamości, a także innych cenionych i przechodnich dóbr, ważne są nie tylko incydentalnie, a tym bardziej nie jednorazowo. W część powiązanych z nimi ról wstępować mogą coraz to nowi aktorzy, choć ich sukcesja ma swoje granice i z reguły kiedyś wygasa. Inne jeszcze przekazy pretendują do nieprzemijającej istotności. Zawsze natomiast – dopóki i na ile trwa pierwotnie zamierzona funkcja – ich znaczenie aktualizuje się poprzez celowe działania interesariuszy. Informacyjne artefakty sporządza się i sięga po nie, by t e r a z i może dalej wywołały pożądane skutki. Cokolwiek zaś było, nie ma w codziennej aktywności kluczowego znaczenia. Nawet gdy ludzie ewokują przeszłość, kierują się zwykle swymi bieżącymi potrzebami.

Zapisy, które przestały przydawać się do pragmatycznego użytku, podatne są na zanikanie. Może to jednak ulec wstrzymaniu, a one same poddawane bywają memoryzacji. Tego rodzaju przeskok celowości, odwieczny i ustawicznie powtarzany, spowszedniał, uległ oswojeniu – łatwo więc stracić z oczu ważność przemiany.

Mowa w tym miejscu o jednej tylko z wielkich rzek ludzkiej pamięci. Nie o wszelkich aktach zapisywania, ale o tych, których – przynajmniej z początku – nie przeznaczano do szerokiego kolportażu lub odbioru. Nie tyle przez wzgląd na sekrety, tajemnice czy prawa wyłączności (choć to również), co z powodu ograniczonej dystrybucyjnej potrzeby. Innego ich wyróżnika wolno upatrywać w praktycystycznej genezie: to, co sporządzano, służyć miało ściśle zarejestrowaniu treści w konkretnym zamiarze, a często też z imiennie określonymi adresatami. Mogło odznaczać się formalną starannością, a niekiedy być ceremonialne. Z zasady niemniej nie stanowiło kreacji estetycznej ani intelektualnej, ani przepojonej duchowością, lecz pełniło funkcję komunikacyjną albo – kluczowe słowo – dokumentacyjną. Zaliczało się przeważnie do instrumentarium potocznej egzystencji ludzi.

Wcześniej ukształtował się kulturowy nawyk gromadzenia tego, co utrwalono, ponad pierwotnie skonkretyzowaną zasadność. Miał w tym udział chaos i zaniechanie, ale przeczuwano też w przyrastających zbiorach wartość uwolnioną od imperatywu bezpośredniego pożytku. Dostrzec można ją było w postarzałych dokumentach, z których ulatywał sens interesów dających kiedyś rację ich sporządzeniu.

W tym, co dawne, często gaśnie znaczenie i przydatność, a tak zdegradowanych rzeczy zwykle nie otacza się już dbałością ani uwagą; mogą ulec zniweczeniu. Są od takiego werdyktu wyjątki – sporadyczne, choć sumujące się w pokaźne liczby. Opierają się na dostrzeżeniu w reliktach zdolności do pełnienia kolejnych funkcji, nie tak już efemerycznych, jak na początku. Zwykłym losem wyróżnionych przekazów informacji staje się ich przenikanie z niezliczonych obszarów życia dawnych ludzi i tworzonych przez nich instytucji do całkiem odmiennej sfery poznawania i wiedzy, ukierunkowanych ku przeszłości. Liczy się waga zapisów, definiowana według płynnych kryteriów. Treść, forma, pochodzenie, niegdysiejszy wpływ lub nawet sama dawność – każde z nich władne jest zapewnić im względną nieprzemijalność. Nie wydaje się specjalnie istotne, czy wszystko, o czym zaświadcniają, rzeczywiście miało miejsce, a decyduje to, że ludzkim staraniem zdarzenia, obserwacje, opinie albo stany rzeczy – tak prawdziwe, jak i rzekome – uległy utrwaleniu. Spisana pamięć ogarnia również zaprzeszłe przeinaczenia i kłamstwa, żadnego nie poddając wykluczeniu. Potrafi dodać splendoru zjawiskom i rzeczom trywialnym. Prawdę od jej pozorów oddzielać mają następnie osobni znawcy – którzy czynią to lub tylko o tym zaręczają.

Przeobrażenia zwyczajów sprawiły, że współcześnie niemal każdy stał się odpowiedni, by wglądać w kumulującą się mnogość, a przynajmniej w obszerną jej część, wyposażoną w status zbiorowego dorobku. Wolno mu zaspokajać zainteresowanie przeminionym światem. Nie jest to motywacja wyłącznie możliwa, ale uważa się ją za emblematyczną. Akceptację zyskała najpierw dociekliwość szacowna i kwalifikowana, która korzysta z powagi nauk. Z czasem uznania doczekała się także błaha ciekawość. Stało się tak, mimo że zachowane i podtrzymywane zapisy nie do tego ani dla każdego były z początku przeznaczone.

Refleksja nad czerpaniem i wtórnym korzystaniem z informacji – przekonwertowanej na pamiętanie – nie mogłaby obyć się bez świadomości sukcesywnego dojrzewania sytuacji, w której taki profit staje się dostępny. Nie bez oglądu złożonej całości, dostrzegalnej w biegu czasu. Osiągany poznawczy potencjał zawsze wynika z bilansu uprzednich okoliczności. Niektóre z nich podlegają świadomemu kształtowaniu – i w tym sensie postrzega się je jako sztuczne, należące do sfery kultury.

Skupianie się na samych warunkach finalnych informacyjnych przepływów mogłoby odwracać uwagę od pytań o wierność przekazów, które gotowe są docierać do późnych odbiorców, a tym bardziej o inną informację, niewystępującą w takich zastosowaniach, bo uprzednio została utracona, usunięta lub tylko pozostawiona poza komunikacyjnym obiegiem.

Na niektóre z fenomenów użytkowej informacji, której pierwotna wartość trwać może krótko, czekają wyspecjalizowane memoryzatoria. Nastawione są na gromadzenie dóbr za sobą zwykle mających etapy bytowania w funkcjach już wygasłych. Rozgrywa się w nich ostatni etap życia informacji, a nie wyznacza się mu czasowych granic. W swej odmiennej, powszechniejszej nazwie mają ukrytą dawność, a według innych – władanie.

Oba tropy wydają się trafne, bogate w znaczenia i symbole. Pierwszy, pochodny od *ἀρχαῖος*, unaocznia, że instytucje te zajmują się rzeczami przeszłymi. Wiadomo też skądinąd, że ich specjalnością jest podtrzymywanie informacyjnych zapisów, których użyteczność przechyliła się już na stronę wspierania historycznej pamięci, z rosnącym dystansem dla spraw codzienności.

Drugi natomiast trop, mniej wyraźny, prowadzi do głębokich źródeł etatystycznej obsesji kustoszy tej pamięci. Niech nazywają się memoryzatorami. Ich uwaga intuicyjnie skupia się na zachowaniu w świadomości spraw władzy, a niedbale omiata pozostałe. Ten motyw wciąż powraca w rozważaniach nad pamiętaniem. Oba tropy krzyżują się, bo *ἀρχεῖον* był siedzibą zarządców sprawami publicznymi, w nieunikniony sposób korzystających z zapisywania, posługujących się rejestrami, dokumentacją. Tak już pozostało: rządzący są największymi administratorami dokumentowania, a także możnymi mecenasami zbiorowej pamięci, jej kreatorami i eksploatatorami.

Mawia się, że historia nie powstaje obiektywnie, lecz w drodze uznaniowych konstrukcji. Stąd wynikła strywializowana maksyma, że piszą ją zwycięzcy. Długo nie budziło wątpliwości, że dziejowa ważność podlega kreowaniu przez organy władzy, uosabiającej państwo. Memoryzatorom takiemu przeświadczeniu trudno by się oprzeć, bo wyróżniają się wśród nich najemnicy w służbie państwa, jego oczami świat oglądający. Poza tą perspektywą może dobrze byłoby i reszty nie zapomnieć, ale ogromu zapisywania nie ma jak dopilnować.

Przenoszenie tego, co ważne, przez czasy i zagrożenia, wymaga biegłości w dokonywaniu wyborów, wypatrywania nurtów rzeczywistości. W pewnym ukryciu postępuje też ich wytyczanie – z niepewną intencją i znanstwem, a także zmiennym szczęściem. Badaczy zjawiska zawsze fascynowało, że drugą stroną daru uwiecznienia, arbitralnie przyznawanego przez memoryzatorów (podobnie jak, w odmienny sposób, przez kronikarzy), jest wyrok niepamięci, wtrącenie zaniechanych zapisów w nieistotność i niebyt.

Państwo, które kiedyś wydało z siebie prawo o pamiętaniu, aspirowało wówczas do wszechobecności i wszechwiedzy. Wszystko, co poza nim się działo, mogło jakoby nie być warte chronienia przed zapomnieniem lub wręcz powinno ulec zatarciu. Z czasem zmieniło się ono samo, ale nie model publicznie wspieranej pamięci. Wciąż brakowało determinacji w rozpoznawaniu zewnętrznych względem państwa przestrzeni, w których bezkresie ludzie budują odrębną wiedzę, deskrypcje wspólnotowych i prywatnych światów – bez dyrektyw, wzorów ani standaryzacji. Prawo nie potrafiło i nawet nie chciało nazwać pokładów tej rozproszonej pamięci, wskazać ich własnej odróżniającej cechy. Wystarczyło mu zdawkowe ustalenie, że są nie-państwowe. Słaba identyfikacja, nieogarniająca nawet całości, którą identyfikuje się jako *res publica*. A co dopiero tego, które jest jednostkowe,

indywidualne, pozbawione oficjalnej autoryzacji. Rządowi memoratyzatorzy niechętnie zapuszczali się w te niepojęte krainy, skąpo udzielali im wiedzy i umiejętności, a także innych swych zasobów. Nie kreślili ich map, nie oznaczali skarbów. Kiedyś mieli to czynić, ale przewlekłe niewypełnione zobowiązanie w końcu wykreślili z ustawy, uchylając się przed jego ciężarami i wręcz usuwając wszelkie po nim ślady. Gdy natomiast przekraczają już tamte granice, powracają czasem z łupami, które skwapliwie inkorporują w *dominium* władzy.

Prawo o pamiętaniu chce zważać na państwo, poszerzone o niektóre dalsze części sfery publicznej. O wielkiej i ważnej pozostałości zdawkowo tylko napomyka. Zgadza się na jej przepadek, a przynajmniej na wyłączenie ze wspieranej przez władzę cyrkulacji informacyjnych dóbr. Deklaratywnie sprzyja jej chronieniu, lecz nie obarcza rządzących gwarancjami przetrwania świadectw, które rozsiane są w bezmiernej społecznej wspólnotcie.

Ponadto, mimo że nominalnie jest też – bez wyłączeń – prawem o memoryzatorach, to w szczególności odnosi się do bardzo niewielu spośród funkcjonujących w domenie władzy. Pozostałym, choć dobitniej jeszcze przynależnym do struktur państwa, przyznaje dowolność działania. Liczne spośród nich zwykły starannie postępować z dokumentacyjnymi relikwami i dzielić się nimi z zewnętrznymi zainteresowanymi. Ich działalności przeważnie jednak tonu nie nadają odwiedziny nieznanym. Mają swoje priorytety; działają na styku czasu przeszłego i teraźniejszego. Wobec tego ostrożnie skłonne są organizować wgląd w dokumentacyjne relikwami. Niekoniecznie z cenzorską intencją, a bardziej z racji równoczesnego wypełniania zadań, które skłaniają do kurateli nad przepływami informacji. Wolności informacyjne odmierzają więc wstrzemięźliwie. Inne wprost wyłączają się ze wspólnej historii, niechętnie wiedzy i pamięci. Sprawiają wrażenie, że na zawsze pragną pozostać w cieniu i wręcz zatrzeć tropy po sobie. Przepis wymienia i takie, których *n i e m a* – niebędące realnymi podmiotami ani wyposażone w decyzyjność. Uroczyście proklamowana przez dawnego prawodawcę ogólnopaństwową strukturą retrospekcji, spajana regułami i celami, to utopia.

Selektywność memoryzacji oraz jej fragmentacja wywołują poczucie, że nie tak być powinno. Przeciwstawia się tym zjawiskom wzorce pamięci integralnej, bezpiecznej od uszczerbku i spójnie podtrzymywanej. Nie jest to jednak rzeczywistością prawa o pamiętaniu.

Kategoria pamięci uległa tu uwydatnieniu i powraca jako istotny przedmiot prawnej regulacji – nazwanej przecież inaczej – bo tytuł oryginalny domaga się zdeszyfrowania. Prawodawca uległ tradycji i namowię, by posłużyć się pojęciami semantycznie ubogimi lub zgola pustymi, które umiarkowanie są adekwatne do treści unormowań. Nie wymaga się wprawdzie, aby tytuły aktów prawnych sięgały esencji rzeczy, lecz trudno by z góry wyrzec się nazw znaczących, a przystać na pojęciowe atrapy.

## ***Mowa czasu przeszłego***

Język, który opisuje misję wyodrębniania i podtrzymywania świadectw dziejów, a ubocznie stanowi też, jacy powinni być ich kustosze, jest stary i zmęczony, zużyty. Używa się go co najmniej od czterdziestu lat, poprzedzonych bardzo długimi przygotowaniem. Nim reguły prawa o pamiętaniu zostały uchwalone i obwieszczane, lingwistyczną postać projektu poddawano korektom. Później ustawowe przepisy po wielokroć modernizowano. Mimo to przejawia się w nich świat zamierzchły, oddzielony od terażniejszości burzliwymi czasami.

Gdy tylko ludzie nauczyli się – w miarę – rozumieć język prawa o pamiętaniu i mówić nim, przepadła rzeczywistość, do której się odnosił. Przeminięło wszechwładne, przemożne państwo, nieszukające dla swojej woli uzasadnień, nawykłe do posłuszeństwa poddanych, a lękające się informacyjnych swobód. Przeobraziły się jego ustawy i uchwalono nowe. Przetrwał natomiast, nawet bez szczególnie autorytarnej intencji, nawyk odczytywania, rozumienia i stosowania przepisów w duchu arbitralności władzy i administracji. Opierał się kolejnym nowelizacjom i trwać miał przez następne dekady, skontrastowany z coraz bardziej koncyliacyjnymi standardami sprawowania *imperium* państwa.

Co więcej, nazajutrz po uchwaleniu prawa o pamiętaniu, zmierzch zaczął zapadać nad oswojonym od setek lat sposobem z a p i s y w a n i a poprzez stawianie znaków albo umieszczanie obrazów na papierze lub podobnym do niego nośniku – ręcznie bądź przy użyciu narzędzi. Rodziła się, szybko dojrzewając, cywilizacja cyfrowa. Prawodawca i jego inspiratorzy próbowali podążać za przeobrażającym się światem, lecz ich wysiłki były chaotyczne i cząstkowe, a zrab przepisów i tak wyrastał z realiów już nieistniejących.

## ***Inwazja na przestrzeń informacji***

Jakkolwiek rządowi memoryzatorzy wiele obszarów zapisywania informacji przedstawiają sobie jako białe plamy, to przecież są te inne, na których skupia się ich troska. Krzątając się w bezliku dokumentacyjnych zapisów, by wyłowić z niego wyjątkowe, zasługujące na wieczność, wkroczyli w specjalność, której prawo nawet nie zalicza do działalności im specyficznie przypisanej ani do sfery ich szczególnego znanstwa. W gąszcz zagadnień zarządzania informacją i dokumentacją zaangażowali się dla upewnienia, że gdy ustanie pierwotna użyteczność, pozostanie dla memoryzatorów ściśle to, co zdolne wznieść się do rangi świadectwa historii. Ich interwencja sprawia niemniej wrażenie przeskalowanej. By zebrać okruchy, pilnują kosmosu.

Długo nie był to ustawowy imperatyw, a zadawniona praktyka wykonywania przepisów. Treść norm ewoluuje albo ich rozumienie podlega przeinaczaniu. Z tego względu nie byłoby niedorzeczne okresowe ponawianie pytania, czym właściwie memoryzatoria się zajmują. Na ile je absorbuje podtrzymywanie fizycznej integralności dokumentacyjnych

reliktów będących świadectwami historii, a także zapewnienie przejrzystości ich struktury i publiczne ich komunikowanie, a jak bardzo koncentrują się na informacyjnej treści wszelkich zapisów, które mają w polu widzenia, w tym ich kompleksowej ewaluacji i selekcji? W biegu lat pewne wątki uległy spotęgowaniu, włącznie z forsownym zaangażowaniem w problematykę zarządzania informacją i dokumentacją. Ogrom tych trudów przesłaniać może ściśle memoryzacyjne kierunki działania – takie, jakie ustawa w tym sensie nazwała i wyróżniła.

Zarazem owa szczególna specjalizacja popadała w trudności, a swoim animatorom przysparzała strapiień. Wdrażane od dekad wzorce zarządzania informacją i dokumentacją generalnie nie spotykały się z dobrym przyjęciem u tych, dla których zostały przeznaczone. Dążyli do swoich celów i – aby je osiągnąć – pragmatycznie zajmowali się dokumentowaniem. Z racji memoryzacyjnej kurateli własne zapisy informacji absorbowały ich zaś bardziej, a na pewno inaczej niż w swoim odczuciu tego potrzebowali.

Memoryzatorzy przeniknęli do świata kreatorów informacji, lecz wystawiają się w nim na zarzut niepomocności w obrębie pierwotnego użytku z informacyjnych zasobów. Będąc w wielu dziedzinach działalności intruzami, mają, z natury rzeczy, przybliżoną tylko wiedzę o korzystaniu z dokumentacyjnych zapisów w ich ulotnej terażniejszości. Służą memoryzacji i jej starają się podporządkować zarządcze modele w środowisku, z którego pozyskują informacyjne dobra. Choćby chcieli zapewnić bieżący ład dokumentowania, ich ingerencja naznaczona jest dyktatem pamięci, racjami przyszłego funkcjonowania zapisów w charakterze historycznych reliktów. Kolonizują rzeczywistość informacji, wnosząc do niej narzędzia i priorytety odpowiednie dla memoryzacji. Domagają się, by informację organizować tak, jak ma być dogodne kiedyś, a niekoniecznie, jak potrzebne jest teraz. Nawet to, co ulec ma zapomnieniu, wciągnięte przez nich zostało w logikę pamiętania.

Nie zawsze niemniej działają na obcej ziemi. Bieżące używanie informacji, a także jej przysposabianie do pamiętania mogą dokonywać się też w spójnych branżowych ramach. Meritum funkcjonowania informacji powinno wówczas być zgodnie rozpoznawalne przez wszystkich zaangażowanych. Mimo to, uzgadnianie rozdwójonej celowości na ogół nie zachodzi bezkolizyjnie. Praktyczne posługiwanie się informacją i w tej sytuacji zbacza na inne drogi. Przeważnie są fałszywe, lecz trwałego zjawiska nie wystarczy zbyć tym argumentem. Rekomendowany mechanizm nie działa samoczynnie, a sztuczne starania o utrzymanie go w ruchu pozostawiają ślady, odrealniają to, co ulegnie bezterminowemu zachowaniu.

Nie sposób wprawdzie negować celowości interwencji. Owo pierwsze życie informacji ciąży bowiem ku chaotycznej doraźności. Nie jest to nawet w interesie początkowych dysponentów zapisów, ale zbyt często przeważają pozory ułatwienia. Trudne do obrony byłoby poleganie na utopii naturalnej samoregulacji zarządzania informacją i dokumentacją. Spostrzeżenie to nie usuwa niemniej wątpliwości, czy recepty, forsowane teraz i od dziesięcioleci nie powstrzymują rozwoju alternatywnych, realnie innowacyjnych rozwiązań zarządczych. Istotne jest w ogólności, czy regulacyjna misja w świecie terażniejszości może i powinna

w tak wielkiej części spoczywać na barkach specjalistów od rzeczy przeszłych. Tak się utarło, ale nie są jedyni. Zawęża się też dostęp publicznych memoryzatorów do zasobów kompetencji, zmalała konkurencyjność wielu z nich na rynku pracy. Topnieje więc – ze stałą tendencją – ich zdolność do rozwiązywania problemów oraz do innowacji. Interpretacja przychylna kontrowersyjnej praktyce dałaby się nawet wywieść z ustawowych przepisów. Nasuwa się więc pytanie, czy takimi powinny one pozostać.

Prawo o pamiętaniu, wymyślone przez dawnych memoryzatorów i tylko zatwierdzone niegdyś głosami obojętnej legislatury, co najmniej werbalnie podsuwa niedorzeczną iluzję, jakoby dokumentowało się, by wytwarzać memorabilia. Ubocznym zjawiskiem czyni zaś – jako przejściowy – pierwotny użytek z zapisanych treści. Mało ważnym i wręcz akcydentalnym. Nic w tym dziwnego: zasadniczym przedmiotem ustawy jest sam finał „ciągu technologicznego”. Oryginalnemu, utylitarnemu funkcjonowaniu zapisów informacji nie przypisuje ona istotności, a pierwszy plan zajmuje ich selekcja oraz przysposobienie tych najcenniejszych do bezterminowego zachowania. Prawo pogłębia pęknięcie między życiem i pamiętaniem, wspierając fikcję, jakoby życie toczyło się, a świat obracał w celu zapewnienia memoryzatorów.

Po dekadach bezdyskusyjności, również w kręgach memoryzatorów efektywność ich zarządczego modelu zaczęła być podważana. Uwagę zwraca szczególna okoliczność: koncept konsekwentnie wdrażanych zasad wywodzi się z głębi czasu, zamierzchłej przeszłości dokumentowania, z kultury zapisywania atramentem na papierze. Już przed stuleciem funkcjonowały wywiedzione z niego prototypy. Trwa jednak nadal, mimo skokowych przeobrażeń technik informacyjnych. Nieprzerwane jego wdrażanie w kolejnych, wzajemnie nieporównywalnych epokach może wydać się nienaturalne, niepokojące, sztuczne. Krytykowany jest przy tym za schematyzm, skłonność, by redukować naturalne bogactwo informacji do wystandaryzowanego, z natury apriorycznego szablonu. Uważa się, że stanowi wygórowaną cenę radzenia sobie z masowością współczesnej dokumentacyjnej produkcji.

Niespiesznie wyposażony został w cyfrowe przebranie, ale główna jego konstrukcja pozostała bez większych innowacji. Co do istoty, dawni memoryzatorzy kontestowali wielką modernizację schyłku ubiegłego stulecia. Długo chodzili w butach burzycieli maszyn. Na koniec zgłosili akces do cywilizacji cyfrowej, lecz zdawali się w niej fałszywymi konwertytami. Informatyczny ich zapal skrywał tradycyjne myślenie. W gruncie rzeczy trudno im było zaakceptować, że świat odwraca się od Johanna Gutenberga, drukarza, a zachowawczymi manifestacjami rujnowali swój doradczy wizerunek. Nie mieli przekonania, że aura pomocniczości jest im niezbędnie potrzebna – i to nie uległo zmianie. Pozycjonują się jako sprawujący kontrolę i nadzór, sięgając po kody administracyjnego przymusu. Niespecjalnie skutecznie. Owszem, kiedy ustawę uchwalano, aparat państwa był przemożny i ogarniał wielkie obszary społecznego życia. Także publiczne memoryzatoria mogły w swoich sprawach działać w imperatywnym trybie. Następnie pozłacana era etatyzmu definitywnie minęła, nawet jeśli idea silnej władzy oraz prymatu państwa okresowo nawraca.



Na gruncie nauk eksperymentalnych od dawna było dostrzegane, że nawet pasywna obserwacja zmieniać może przedmiot badania. Metodologii memoryzacji brak niezbędnej przezroczystości; nie zamierza być neutralna. Wykazuje skłonność do przekształcania struktury informacji według swoich priorytetów. Następnie przejęte już zapisy włączane bywają w kolejne schematy, czasem w brawurowo tworzone konstrukcje. Te dalsze czynniki ryzyka zaliczają się wprawdzie do prawa pomniejszego, wewnętrznego, albo wręcz do zaleceń czy nawet zwyczajów i praktyk – ale wywołują pełnowymiarowe skutki. Do rąk końcowych odbiorców trafiać więc mogą zapisy tak skonfigurowane, jak w ich pierwotnych, oryginalnych zastosowaniach nie miało miejsca. Brak pewności, czy jako źródła wiedzy są tym samym, czego realnie niegdyś używano. Memoryzatorom zdarza się bowiem aranżować informacyjną nierzeczywistość. Co było autentyczne, bezpowrotnie czynią niedostępnym.

Wojny, katastrofy, nietrwałość rzeczy oraz memoryzacja oddzielają ludzi od faktycznej przeszłości. Pozwalają im poznać informacyjne szczątki i aranżacje. Trzy pierwsze złowieszcze czynniki są żywiołami, które wymykają się stanowionym unormowaniom. Czwarty natomiast, ostatni z nich, ma oparcie w wyrozumowanych przez memoryzatorów i skodyfikowanych kryteriach ważności treści oraz wzorcach jej organizowania.

Kluczowe jest, czym od obecnych unormowań miałyby różnić się alternatywne rozwiązanie tego samego problemu. Nieodzowne wydaje się m.in. stworzenie ram uzgadniania czy wręcz integracji potrzeb kolejnych interesariuszy w całym cyklu życia informacji. Jedni umieliby zapewnić udokumentowanie ludzkiej działalności, ale niewiele o niej wiedzą. Drudzy natomiast są znawcami poszczególnych domen aktywności ludzi, lecz długookresowe dokumentowanie jest im obce i obojętne. Pogodny obserwator orzekłby, że pasują do siebie; wykazują wzajemnie przylegające braki. Natomiast prawo o pamiętaniu i jego wykonywanie w obliczu tego paradoksu zabrnęły w konfrontację bez zwycięzców.

Jeśli tak je zostawić, krytyczna sytuacja mogłaby w perspektywie ulegać dalszym, nieobliczalnym przeobrażeniom, włącznie z marginalizacją części końcowych memoryzatorów. To na nie spada główne ryzyko *status quo*. Gdyby, skupione na własnych priorytetach, na trwałe miały przybrać wizerunek dysfunkcyjnych w zarządzaniu bieżącą informacją, mogą ulegać sukcesywnemu wypieraniu z informacyjnego świata. Nie zniknęłyby wprawdzie, nie przypadną w spektakularnej katastrofie, ale grozi im, że utkwią w punkcie czasu – jako anachroniczne ostańce – a powszechna praktyka ominie je i pomknie dalej. Pewne obszary dokumentowania już wymykają się klasycznemu modelowi memoryzacji. Nie sposób wykluczać efektywności takiego kierunku zmian, lecz w takim razie zasługiwałby on na poprawną kodyfikację.

Ważkie są powody, by następstwa powyższych zjawisk umieszczać w kręgu zagadnień dostępności (a zwłaszcza niedostępności) informacji. Spreparowane i przearanżowane zespoły zapisów gotowe nieść zmienioną treść. Stąd krok tylko do pamiętania – solennie, lecz nie tego, co się zdarzyło, a w każdym razie niedokładnie. Wszystko zaś pozostałe, które nie znalazło się pod ochroną – niekoniecznie publiczną – podlega ryzyku zapomnienia, a często też przypadku.

Wątek przejścia od początkowego użytku z informacyjnych zapisów do ich memoryzacji zasługiwał też na wyróżnienie, bo dotyczy pierwszego kontaktu: memoryzatorzy ujawniają się światu, są przezeń dostrzegani i poddani oszacowaniu. Od tego momentu krzepną predylekcje, które ukierunkowują życie informacji.

### *Za zgodą czy na żądanie*

Miejsce kolejnego spotkania wyznaczane jest przez korzystanie ze zgromadzonych informacyjnych reliktyw. Memoryzatoria na kilka sposobów umożliwiają zainteresowanym zapoznanie się z nimi, o k a z u j ą c do wglądu dokumenty lub samą ich treść. Relatywna niedawność odnośnego modułu przepisów, a zarazem kilkuletnia praktyka ich stosowania prowokują spostrzeżenia natury też legislacyjnej, ale innego rodzaju.

W początkowym swym brzmieniu prawo o pamiętaniu eksponowało prerogatywy dysponentów informacji oraz warunki jej udzielania. Odpowiadało to ówczesnym tendencjom sprawowania publicznej administracji. Odbiorcy informacyjnych przekazów byli statystami ustawowych przepisów. Nie przypisywało się im większej sprawczości, z wyjątkiem samego przedłożenia prośby. To instytucje państwa udzielały poznawczych dóbr petycjonariuszom, o ile nie uznały inaczej. Minęło wiele lat, zanim role rozdane zostały na nowo – zgodnie skądinąd z ogólnymi przeobrażeniami w stosowaniu prawa. Marginalizacji uległy władcze i uznaniowe aspekty dysponowania informacją. Memoryzatoria nie wycofały się wprawdzie do funkcji organizatorów procesu, a nadal pozostały strażnikami informacji chronionej prawem oraz samej materialnej substancji zapisów. W procesie pozyskiwania informacji występowały natomiast – mając teraz oparcie w wyraźnych dyspozycjach ustawy – dwie strony, wchodzące we wzajemne interakcje, zdolne do konfrontowania kolidujących ze sobą argumentów. Zainteresowanym okazywano historyczne zapisy nie z woli przechowawców, lecz wprost z mocy prawa, które gwarantowało dostępność pamięci udokumentowanej przez publiczne instytucje.

Modernizacja przepisów wydobyła z cienia jeszcze jedną właściwość memoryzatoriów: neutralność wobec ich gości. Umożliwiają zapoznanie się z dokumentacyjnymi źródłami, nie pretendując do kształtowania badań ani ich rezultatów. Powściągliwie angażują się w odnajdywanie informacji. Mają wprawdzie niemały udział w przygotowaniu narzędzi wyszukiwawczych, a nawet w strukturyzowaniu historycznych zapisów – niemniej ich inicjatywa i doradztwo pozostają miarkowane. Także dlatego, że nie projektowano ich ani zobligowano do ponoszenia takich ciężarów. Neutralistyczne wypełnianie ich funkcji trwa niezależnie od mnogich przypadków dzielenia się przez nie specjalistyczną wiedzą. Szereg okoliczności przesądził o ich zasadniczej nieingerencji – z wyjątkiem incydentów uprawnionej, jawnej i zaskarżalnej odmowy – w korzystaniu przez innych z tego, co chronią.

Symptomatyczne były późniejsze epizody podważania tak redefiniowanego standardu okazywania dokumentacyjnych reliktyw. Trudno ocenić ich wagę, ale wszystkie miały znamiona oficjalności. Odnotowano ich tylko kilka, niemniej jednak każdy zdawał się skrywać potencjał antagonistycznej normy\*. Choć zdają się incydentami, zakorzenione były w społecznej obyczajowości oraz w etatystycznych tradycjach sprawowania administracji publicznej. W razie podjęcia prac nad kolejną regulacją mogłyby – ze znacznym prawdopodobieństwem – ponownie dać znać o sobie.

Pierwsza pojawiła się negacja informacyjnej otwartości, a zwłaszcza powszechnej możliwości bezpośredniego i anonimowego wglądu w treść dokumentów, bez udziału ich przechowywawcy. Wydaje się, że oponentom zabrakło niegdysiejszego schematu ról, centralną postacią czyniącego państwowego benefaktora. Za odwrócony uważali porządek, w którym uzasadnieniu podlegać miały ewentualne odstępstwa od informacyjnej wolności, a nie zamiar wglądu w informację. Tym bardziej dysonansem była dla nich możliwość czerpania z publicznych zasobów zasadniczo bez ograniczeń ani zastrzeżeń. Bez rytuału obdarowania. Nieprzypadkowo spór zogniskował się na tym, co przeniesiono do otwartych systemów teleinformatycznych, z założenia poza zasięg urzędowej reglamentacji.

Z podobnej inspiracji wynikło nawracające sondowanie ewentualności przywrócenia w ustawie kategorii „interesu państwa” jako przesłanki odmowy wglądu w treść zgromadzonych dokumentów. Klauzula prawnie chronionych interesów państwa (wręcz Państwa) długo figurowała w prawie o pamiętaniu. Jej stosowanie stało się deprymującym doświadczeniem. Państwo, symbol i przedmiot emocji, nie jest bowiem osobą i nie ma swoistych interesów. Za ustawowym zwrotem kryły się inaczej przypisane potrzeby i obawy. Mogły być to żywotne interesy społeczeństwa, ale w praktyce używania przepisu do 1989 r. przeważały doraźne priorytety władzy. Niezwłocznie też zapomnieniu uległ warunek oparcia w ustawach. Oczekiwania rządzących sankcjonowały informacyjne restrykcje – zajmując miejsce prawa, starczając za jego ekwiwalent. Niegdysiejsi memoryzatorzy, nawykli do bezdyskusyjności politycznej woli, przyswoili nagminne pomijanie motywu legalizmu. Znamienne, że gdy później, w zgoła innych ustrojowych okolicznościach przymierzano się do przywrócenia klauzuli interesu państwa, wyrażenie „prawnie chronione” w ogóle już nie było przywołane.

Klauzulę tę usunięto z ustawy w przekonaniu, że publiczne interesy, których realnie mogłaby dotyczyć, znalazłyby wystarczające zabezpieczenie w przepisach o ochronie informacji niejawnej. Nie sposób też pominąć, jak nieobliczalnym narzędziem była. Jej właściwości objawiają się wprawdzie jako wady w określonym aksjologicznym porządku, a w innym mogłyby przybierać odmienny walor. Zaryglowana teraz furtka arbitralności informacyjnych ograniczeń stanowi odnawialną pokusę.

---

\* Zaprezentowane tu przekonania i dążenia były wyrażane publicznie. Wiedza autora na ich temat nie ma bezpośredniego związku z wykonywaniem przezeń pracowniczych obowiązków.

Ponadto, w zmodyfikowanych przepisach opór wywoływała bezosobowa i kategoryczna formuła niektórych ustawowych restrykcji, czasowo zamykających wgląd w wybrane rodzaje informacji. Zainteresowani domagali się dopuszczenia w ustawie uznaniowych wyjątków, przeznaczonych do imiennego stosowania. Niweczyłoby to sens kwestionowanych klauzul, który polega na ograniczeniu odstępstw do jedyne, zobiektywizowanego i ustalonego w przepisach. Przyjęte rozwiązanie przeciwstawia się kulturze niecierpliwej ciekawości, niezważającej na ludzkie sekrety. Także dla memoryzatorów zwielokrotnione oczekiwanie indywidualnych wyjątków od reguł stanowiłoby trudny do uniesienia ciężar. Niemniej jednak, żądanie przywrócenia instrumentu uznaniowego przywileju spotkało się ze zrozumieniem sejmowej komisji – choć ostatecznie nie poszły za nim prace legislacyjne.

Od ukrytych założeń prawa o pamiętaniu zdaje się też odróżniać wyartykułowana intencja wpływania na świadomość oraz postawy odbiorców memoryzacyjnej oferty. Natury ani siły takiego oddziaływania nie trzeba uważać za przesadzoną. We wpływie nie ma też nic nadzwyczajnego, bo k a ż d y komunikat przeobraża swojego adresata. Zamiar wywierania wpływu można utrzymać w ryzach, a w szczególności – odnosić go nie do wglądu zainteresowanych w historyczne świadectwa, lecz do podstawowej propedeutyki, która dąży do wzbudzenia zaciekawienia i tylko może być punktem wyjścia do poznawczego wysiłku. Użyto jednak sformułowania mocnego i to w wyrazistym okolicznościowym kontekście – nie do uzgodnienia ze standardem memoryzatorów neutralnych w stosunku do ich gości. Brak mu nawet analogii w przeszłości, bo nie występowała w niej odpowiednia skala oddziaływań, masowa publiczność. Teraz pomieściłaby się w nim wręcz polityzacja misji na rzecz pamięci. Przeszłość stanowi bowiem dobro utylitarne, zawsze znajdujące zastosowanie w sprawach czasu bieżącego.

Motywnym, który łączy te rzeczywiste, choć nadal niespełnione manifesty rewizji, jest kontrola nad informacyjnymi zasobami – sprawowana poprzez reglamentację, zakaz, przywilej albo wpływ. Tendencja taka odróżnia się od wzorców otwartości wspólnych niematerialnych bogactw oraz społecznie służebnego zarządzania nimi.

### ***Pojęcia puste a pojęcia przepelnione***

Znamienna trudność wynika z semantycznego nieładu. W prawie o pamiętaniu o k a z y w a n i e dokumentacyjnych memorabiliów występuje bowiem w kilku różnych znaczeniach. W jego własnej rutynie dominują odniesienia do konkretnych przepływów informacji zainicjowanych przez ich rzeczywistych adresatów. Według tego skonstruowane są ustawowe przepisy. Zdarzeniowe rozumienie terminu, choć zadawnione i niepozbawione logiki, semantyczną precyzję niemniej pozoruje. Jest specyficzne dla tej jednej ustawy (oraz jej poprzedników), a odróżnia się od ogólnej polszczyzny, w której występują mnogie znaczeniowe odcienie. Ta nieostrość, jak najbardziej akceptowana przez wydawnictwa poprawnościowe, skutkuje nieporozumieniami, a także nieprzewidywalnością orzecznictwa sądów, przed którymi memoryzatoria sporadycznie stają.

W całości systemu prawnego zdaje się przeważać odmienne pojmowanie okazywania źródeł albo treści informacji – jako samego potencjału, zapewnianego przez dysponenta informacyjnych zasobów. Okazywanie występuje nie tyle jako czynność, co stan rzeczy. Okazane jest to, po co zainteresowani mogliby w razie potrzeby sięgnąć, bez dodatkowych procedur – zwłaszcza po dane lub kopie cyfrowe w otwartym systemie teleinformatycznym. Nie ma znaczenia, czy kiedykolwiek faktycznie to nastąpi. W tym ujęciu okazanie historycznych zapisów to nie jednostkowy epizod, ale stała informacyjna gotowość, uprzedzająca niepewne manifestacje potrzeb nieokreślonych odbiorców. Takie rozumienie okazywania nie znajduje już bliźniaczej połowy w pojęciu korzystania, bo to drugie mogłoby nigdy się nie wydarzyć – a okazanie i tak miałyby miejsce. Owa ewentualnościowa interpretacja występuje m.in. w ustawie o otwartych danych i ponownym wykorzystywaniu informacji sektora publicznego. Rozbieżności z prawem o pamiętaniu nie sposób banalizować, bo jest to ustawa, która stanowi *alter ego* jego dostępowych unormowań.

Niepewne wydaje się ponadto, czy byłoby tym samym zapoznawanie się z historycznymi zapisami w czytelni oraz w sieci teleinformatycznej. Obie te drogi radykalnie się różnią – przede wszystkim procedurami, stopniem identyfikacji gości, przeważającymi sposobami korzystania ze źródeł informacji, a także mechanizmami ograniczeń dostępu. Istnieje też cała sfera zastępczego wglądu, w której memoryzatoria wyszukują lub sporządzają – i dostarczają zainteresowanym zamówione przez nich informacje albo odwzorowania dokumentów.

Biorąc pod uwagę standardy ścisłości i jednoznaczności unormowań, opisywanie jednym terminem wszystkich tych niejednakowych zastosowań sprawia wrażenie ryzykownego. Co najmniej niektórym z nich wypada w przyszłości przyporządkować specyficzne nazwy. O ile w innych miejscach ustawy występują pojęcia sztuczne, pozbawione własnego znaczenia, to *o k a z y w a n i e* mieści w sobie znaczeń za dużo. Trudne i niecelowe byłoby z pewnością stawianie czoła przeważającej legislacyjnej praktyce, uznawanej przez językoznawcze autorytety. Stanowi to argument za rewizją zawodowego dialektu memoryzatorów, włącznie z terminologią prawa o pamiętaniu.

Dodatkowe, odrębne użycie pojęcia okazywania przeniknęło do tego prawa za pośrednictwem przepisów chroniących dane osobowe. Odnosi się ściśle do obowiązku przedstawienia przetwarzanych danych do wglądu osobom, których dotyczą – ale sąsiaduje w ustawie z memoryzacyjnymi znaczeniami terminu – odmiennymi, a z nim jednobrzmiącymi.

Choć może być to szokujące, refleksja nad ustępującym legislacyjnym projektem przemawia za tym, by nad jednym z podstawowych pojęć profesji, od przeszło stulecia ponawianym w kolejnych aktach prawnych, wywiesić białą flagę. Nie zniknęłoby całkiem z przyszłych, jeszcze niepomyślanych przepisów, ale pod presją przeobrażeń polszczyzny powinno ulec specjalizacji. Lingwistyczne fakty spychają je zwłaszcza ku abdykacji z elementarnego znaczenia, przypisanego dziś – choć nie na wyłączność – do poznawania

dokumentacyjnych zapisów przez imiennie zidentyfikowanych zainteresowanych, co dokonuje się w czytelnich lub specjalistycznych pracowniach instytucji, w których zapisy te są przechowywane. Uznawany uzus językowy, a w tym terminologia nowszych ustaw podążyły odmiennym nurtem.

Powyższe terminologiczne wyzwanie – podobnie jak pozostałe, ukryte albo widzialne – gdyby je podjąć, nie byłoby ponad siły. W tym miejscu wynika z niego wyrazisty argument, że tradycji ani językowych przyzwyczajzeń nie należy uważać za dobra nadrzędne albo źródła aksjomatów. Bardziej liczy się jakość unormowań, a także spójność systemu prawnego. Nie wystarczy też adekwatność względem realiów, bo poza nią normy powinny antycypować w miarę przewidywalną przyszłość.

### ***Zbyteczność i daremność prawa***

Reguły docierania do informacji stanowią ważną część prawa o pamiętaniu. Teraz również część relatywnie obszerną. Sensowne jest pytanie, w jakim celu zostały tam zamieszczone oraz – motyw kardynalny – na ile są zbyteczne.

Przedtem, przez długie lata miały lakoniczną postać. Ustawa w pierwotnym brzmieniu stanowiła zwłaszcza, że memoryzatoria okazują zgromadzone zapisy, chyba że zachodzi kolizja z prawnie chronionymi interesami. W oszczędności tej zgeneralizowanej formuły można by dopatrywać się rysu prawniczej elegancji. Była wprawdzie napisana w szorstkim narzeczu swojej epoki, a początkowo brakowało jej wolnościowego kontekstu – ale, umiarkowanie modyfikowana, adaptowała się do zmiennych czasów i oczekiwań.

Następnie zdecydowano się jednak na radykalne rozbudowanie w prawie o pamiętaniu zarówno pozytywnych gwarancji, jak i zastrzeżeń oraz zakazów. Osobliwością jest, że nie stanowiły normatywnej innowacji, ale zostały w nim powtórzone za innymi aktami. Gdyby do tego nie doszło, tamte i tak byłyby dla memoryzatoriów wiążące. Ćwierć wieku wcześniej – po przewlekłej zwłoce – szeroko uznawane wolności informacyjne odnalazły w krajowym prawie głębokie zakorzenienie. Od tej chwili towarzyszyła im też zasada proporcjonalnego z nich korzystania, w równowadze z innymi wolnościami i prawami. Szczególne przepisy dla memoryzatoriów nic nowego do tego dorobku nie dodały, wyłącznie czerpiąc z niego. Przesłanki odmowy okazania informacji w prawie o pamiętaniu są wręcz – z jednym względnym wyjątkiem pieczy nad integralnością memorabiliów – oparte na odesłaniach do przepisów odrębnych. Normatywna celowość zbudowania zasad z zapożyczeń budziła wątpliwości, a jednak memoryzatorzy zainspirowali prawodawcę w kierunku niewymyślnych wypisów z ugruntowanego już standardu.

Początkowa formuła, zwięzła i poręczna, okazała się bowiem nieodporna na skutki zdegradowania kultury prawnej, dokonanego w drugiej połowie zeszłego stulecia. Przez tę kulturę rozumieć wypada nie tyle ogólną orientację w systemie unormowań,

co upowszechnioną zdolność postępowania nie pod dyktando artykułów i paragrafów, a w zgodzie z wartościami, reprezentowanymi przez normy prawa. Stosowanie tamtej formuły wymagało finezji i wiedzy, których nie zbywało tak kustoszom udokumentowanej pamięci, jak interesariuszom, do udziału w tych dobrach pretendującym. Jednym i drugim zabrakło legalistycznej tradycji oraz kształtowanego przez pokolenia etosu dobrej administracji, przejętej ideą służebności. W dniu uchwalenia ustawy wielu z nich nie było na świecie, ale i na nich padł długi cień tamtej epoki. Poza tym, wielowątkowe programy kształcenia memoryzatorów nigdy nie ocierały się nawet o problematykę informacyjnych wolności i praw. Na podorędziu były zaś wpajane przez wieki wzorce arbitralności władzy, a także dogmat nieistotności informacyjnej autonomii obywateli. Codzienna praktyka memoryzatorów rozpięta więc była między opresyjną reglamentacją a wygodnym permissywizmem, nieustannie zbaczając ze sprawiedliwego środka. Stąd wzięła się koncepcja uszczegółowienia przepisów do skali pomocy edukacyjnej, całkiem przecież niespójnie ze standardami legislacji. Dydaktyzm prawnych wskazań objawił własne mankamenty, lecz od dokonanego wyboru nie było powrotu. Wciąż nie ustają bowiem przesłanki tamtej zmiany.

W rozwinięciu tego dylematu przychodzi refleksja, że prawo nie działa samo. Bez szeroko przyswojonej aksjologii jest daremne. Uwagi wymaga w tym kontekście spostrzeżenie europejskiego zalecenia (M/Rec(2007)7), że standard dobrej administracji właściwie nie zależy od rozwiązań prawnych. Ważniejsze są inne czynniki, a wśród nich faktyczna jakość organizacji i zarządzania, zdolność zaspokajania społecznych potrzeb oraz zabezpieczania publicznych interesów. Gdyby kryteria te były spełnione, ustawy pełniłyby w gruncie rzeczy funkcję pomocniczą.

W przeciwnym razie, zagrożona zostałaby nawet skuteczność stanowionego prawa – jego bezpośrednie normatywne oddziaływanie. Ryzyku temu przeciwdziałać mają kodeksy etyki, będące praktycznym rozwinięciem formalnych nakazów i zakazów, których dostarcza legislatura. Zawierają istotną treść, sprawiają jednak wrażenie martwych. Są podniosłe, odświętne i nieużywane. Wzmiankuje się o nich okazjonalnie, w rytualnych deklaracjach. Krajowe memoryzatoria nie zwracają wszak na nie większej uwagi, nie czerpią z nich inspiracji. Zjawisko to domaga się diagnozy, lecz i bez niej zaryzykować można tezę, że są to instytucje często bez reszty zaabsorbowane codzienną działalnością, zmagające się z trudami elementarnymi, które oddzielają je od rozważań nad wysokimi pryncypiami podsuwanymi przez kodeksy.

W obliczu niedogodności obu formuł: zarówno tej porzuconej, jak i kolejnej, na jej miejsce przyjętej, nie sposób rezygnować z poszukiwań innego jeszcze, perspektywicznego rozwiązania. Mimo trudnych doświadczeń z przyswajaniem instrumentów niejurystycznych, może ono w znacznej części być odnalezione poza dziedziną prawa.



Unormowaniom w sprawach dostępności informacji nie służyłaby skala zmian fragmentarycznych. Nowelizacjom trudno obyć się bez ustępstw oraz niespójności, które są wymuszone albo nawet niezamierzone. Swoboda korzystania z dokumentacyjnego dorobku potrzebuje natomiast złożonych gwarancji, umiejscowionych w różnych wątkach ustawy. Klauzule dostępowe chcą być koncyptowane w kontekście całościowego projektu.

### ***Bezpańska przeszłość i niczyje memoryzatoria***

Ponadto, uwagi wymagają skutki nieukierunkowanych ograniczeń spoza obszaru memoryzacji. Wbrew potocznemu przekonaniu, wiarygodne badania wskazują, że Polacy nie są dumni z przeszłości. Na ogół nie ich przodkowie spisywali kroniki. Historia odczytywana z dawnych dokumentów najczęściej nie jest ich historią, przeszłością ich rodzin. Ogół społeczeństwa pożycza sobie z tradycji, która z czasem stała się niczyja. Zwykle zresztą sięga się po oderwane historyczne mity, a zachowane dokumenty tylko by zaciemniały obiegowy obraz dziejów, niemęczący zestaw strywializowanych motywów. Inspirowana historią legendowość pozoruje zainteresowanie przeszłością, ale równa się odmowie jej poznawania.

Bez memoryzatoriów obywają się ludzie, których mija się na ulicy, ale też ludzie w rolach politycznych, którzy czasem decydują o statusie tychże instytucji. To fenomen ponad podziałami. Niepowodzenia kilku ustawowych projektów były między innymi skutkiem osamotnienia ich inicjatorów w procesie legislacyjnym. Systemową obojętność wobec memoryzacji trzeba brać pod uwagę jako fundamentalne ryzyko dla przyszłego takiego przedsięwzięcia.

### ***Bezapelacyjność nieziszczalnej zmiany***

Nietrudno wyrozumować niezbędność zastąpienia prawa o pamiętaniu innym aktem, osadzonym we współczesnych realiach z uwzględnieniem wyważonych prognoz, a niebędącym nawarstwioną przeróbką zaprzeszłej regulacji. Nie sposób natomiast dać wiarę, by zmiany te były szeroko oczekiwane. Rzeczywistość publicznej memoryzacji odpłynęła od modelu obowiązującej ustawy, mającej dziś marginalne znaczenie dla większości jej nominalnych adresatów. Wystarczy im kilka wzorców swobodnie z niej zaczerpniętych oraz ugruntowane doświadczenie, że przepisy powszechne ich omijają. Dostępowe unormowania zostały dla nich ustanowione w istocie o b o k prawa o pamiętaniu. Mogą wydawać się im odpowiednie. Obojętnie przyjmują więc kolejne nowelizacje ustawy.

Te na ogół projektowane są w stosunkowo wąskim kręgu memoryzatoriów ustawą ewidentnie związanych – przeważnie na ich własny, partykularny użytek. Niegdyś to ich zwierzchnik, finalizując starania dwóch swych poprzedników na urzędzie, patronował projektowi prawa o pamiętaniu i doprowadził do jego uchwalenia – z mocą powszechnego niemal obowiązywania. W przepisach długo trwały reliktowe klauzule opisujące tamtą



rozległą sprawczość, a niektóre z nich wciąż są sformułowane w czasie teraźniejszym. Po upływie czterech dekad nie dałoby się wszak powtórzyć inicjatywy analogicznie spersonalizowanej. By znów uzyskać skalę unormowań dla wielkiej wspólnoty, definiowanej jako naród – ogół obywateli, niezbędne byłoby zgodne działanie wielu graczy. Do tego nie widać zaś wspólnej przestrzeni interesów. Brak też w miarę uznawanego koordynacyjnego ośrodka.

Nie daje ponadto znać o sobie obfitość innowacyjnych koncepcji, które nie pomieściłyby się w prawnych ramach, które istnieją – zarówno w tych ustawowych, jak i pobocznych. Było to zresztą fatalnym wspólnym rysem czterech projektów nowej regulacji, które na przestrzeni ostatnich trzydziestu lat pojawiły się, a następnie przepadły. Wszystkie one – choć dążyły do zmian – sprawiały wrażenie spętanych postarzałym prawem o pamiętaniu.

Dogłębna identyfikacja problemów i potrzeb wydaje się niemniej do pomyślenia. Przydatne byłoby w tym celu wyjście od roboczej hipotezy, jakoby przestrzeń dokumentowania i memoryzacji różniła się we wszystkim od dotychczasowych unormowań. Jest to wprawdzie fikcją, ale dalece niecałkowitą – a użyteczną w procedowaniu. W następnej dopiero kolejności można by odkrywać stałe punkty tych dziedzin i krytycznie dopuszczać zbieżności między koncepcją już wysłużoną a tą na nowo konstruowaną. To słuszna metodyka przeciw stereotypom. Nieodzownie wykroczyć trzeba poza mentalne nawyki, nasze granice. Chodziłoby niezmiennie o podtrzymywanie przyrastającego informacyjnego dorobku pokoleń i zapewnienie jego rozległej użyteczności – z uwzględnieniem wkładu generacji, których udziałem jest teraźniejszość oraz część przyszłości.

Nie ma powodu przesądzać, jakoby widzialnym na horyzoncie rezultatem miała być nowa ustawa. W baśniowych i legendowych tradycjach wielu kultur powtarza się zresztą przestroga przed pochopnym wypowiedaniem życzeń, gdyż opacznie spełnionych nie sposób już odwrócić. Całościowe wyobrażenie innowacyjnej i adekwatnej regulacji warto niemniej mieć w świadomości, by przynajmniej podążać właściwą drogą. Na jej końcu powinien być wyobrażony cel, ale nie sposób uciec od trudnego pytania: czy jest w zasięgu? Podejmując wyzwanie wypada obejrzeć się uprzednio za siebie, policzyć siły, rachunek rozważyć.

2022 06 27